
„Chciałbym odpocząć dziś od siebie,

Zrozumieć kim jestem, kim byłem,

Znaleźć odpowiedź na pytanie,

Dokąd iść chciałem, skąd wróciłem.

Zgubione w czasie leśne ścieżki,

Wyzwolić z czaru nieistnienia,

Nazwać na nowo barwy tęczy,

Zapomnieć, co to są wspomnienia.

Chcę spytać losu jakim prawem,

W życiowe strojąc mnie ostrogi,

Wybrał przemijającą sławę,

Nie dając do wyboru drogi.

Czemu przelotnych ptaków skrzydłom,

Zawierzył moje dni i noce,

Spokój i sny – niesfornym wichrom,

Co w kroplach deszczu niosą wiosnę.

Odnaleźć chciałbym jeszcze ciszę,

Dni prześwietlonych blaskiem słońca,

Naiwność dziecka i muzykę,

I już pozostać tam do końca.

Zamknąć jak w kryształowej kuli,

W kalejdoskopie dni minionych,

Wszystkie radości, wszystkie bóle,

Tęsknoty marzeń niespełnionych.”

Chciałbym odpocząć dziś od siebie,

Zrozumieć kim jestem, kim byłem,

Znaleźć odpowiedź na pytanie,

Dokąd iść chciałem, skąd wróciłem.

Zgubione w czasie leśne ścieżki,

Wyzwolić z czaru nieistnienia,

Nazwać na nowo barwy tęczy,

Zapomnieć, co to są wspomnienia.

Chcę spytać losu jakim prawem,

W życiowe strojąc mnie ostrogi,

Wybrał przemijającą sławę,

Nie dając do wyboru drogi.

Czemu przelotnych ptaków skrzydłom,

Zawierzył moje dni i noce,

Spokój i sny – niesfornym wichrom,

Co w kroplach deszczu niosą wiosnę.

Odnaleźć chciałbym jeszcze ciszę,

Dni prześwietlonych blaskiem słońca,

Naiwność dziecka i muzykę,

I już pozostać tam do końca.

Zamknąć jak w kryształowej kuli,

W kalejdoskopie dni minionych,

Wszystkie radości, wszystkie bóle,

Tęsknoty marzeń niespełnionych.

Nihil novi sub sole

Kiedy wieczorem wracam do domu,

Zostaję sam na sam z pamięcią,

Domowe smutki w lampę tłuką,

Tkając ze wspomnień sieć pajęczą.

Plączą się daty, dni, godziny,

W tany ruszają – łąza z uśmiechem,

Mknący korowód nie rozróżnia,

Co było wczoraj, co przed wiekiem.

Niebo na ziemi i sny na jawie,

Ciemne zaułki i promenady,

Wszystko już było i wszystko za mną,

Gasnące słońca, wschodzące gwiazdy.

Przeszłość upija, jak stare wino,

Raz powie prawdę, to znów skłamię,

Aż smutkom elfie zwiędną skrzydła,

I spadną w świt odczarowane.

Takie sobie smuteczki

W krainie melancholii,

Nic nie jest wyraźne do końca,

Smutek jest płytki, radość oszczędna,

A miłość nie nazbyt gorąca.

Czas to podbiega, to staje,

Liść zielony a spadnie,

Wady są zaletami,

A co brzydkie, to ładne.

Prawda nie bywa naga,

Nagość z kolei nieskromna.

Przestrzenie nie są swobodne,

Za to niewinność - frywolna.

Tylko szarość jak zwykle,

I wszędzie, jest szara.

I śmierć nie jest wesoła,

Choć bardzo się stara.

Ballada dziadowska

Na rogu, pod starym kasztanem,

Niezmienny, od zawsze ten sam,

Sprzedawca używanych marzeń,

Rozkłada codziennie swój kram.

I co dzień tłum ludzi przebiera,

W marzeniach rzuconych na złom,

Kupują wytarte złudzenia,

Chcąc dodać poezji swym snom.

Sny zwykłe, sny pospolite,

Bezbarwne, jak cały ich świat,

Rozświecić iskierką chcą magii,

Choć w nocy być wolnym jak ptak.

Krainy chcą śnić, których nie ma

Księżycą i gwiazd chcą u stóp,

Odwagi, by skryte pragnienia,

Móc rzeźbić w kamieniach słów.

A kiedy budzą się rano,

Z rzęsami mokrymi od łez,

To w rzewnym tkwią oszołomieniu,

A w sercach rozbrzmiewa im śpiew.

I biegną pospiesznie pod kasztan,

Gdzie ciągle niezmienny, ten sam,

Sprzedawca używanych marzeń,

Rozkłada codziennie swój kram.

Ballada likendowa

W piątek gdy w okna wieczór puka,

Znaczy się, likend już na progu,

Każdy, w kim tli się trochę ducha

Nie stoi na krawędzi grobu

Wie, że nadchodzi czas zabawy,

Że troski pora zamieść w ką,

W końcu są w życiu ważne sprawy,

Reszta pod dywan – paszoł wont

Madam Farfocell, wielka dama,

(Prywatnie Kazimiera Zet)

Piątków nie lubi spędzać sama,

Jak jakiś zwykły, pardon, śmieć

Pierwsza królowa warzywniaka,

I bywalczyni lumpeks -szopów,

Nieobce jest jej słowo draka,

Oraz skłonności do wyskoków.

Wypina pierś i pręży uda,

(Z brzuchem niestety gorsza sprawa),

Wnet pierzchnie wszechobecna nuda,

Bo w piątek musi być zabawa.

Jej przyjaciółka Zużka Szprycha,

(w dowodzie Genowefa Gie),

Do piątku już od wtorku wzdycha,

Też się rozerwać wreszcie chce.

Ostatni..

Jestem ostatnim sprawiedliwym,

I pierwszym, który w to nie wierzy.

To, co potocznie zwie się życiem,

Doskwiera mi, dławi i mierzi.

Dosyć już prawd mam tego świata,

Opartych na odwiecznych kłamstwach,

Gdzie na sztandarach hasła szczytne,

Są unurzane w ludzkich świństwach.

Gdzie wiarołomstwo z hipokryzją,

Pod rękę chodzą w pełnym słońcu,

A sławę, honor i szacunek,

Można w nim kupić za pieniądze.

Buduję mur, rygluję bramy,

Z gośćmi rozmawiam w progu sieni,

I głupi, ciągle mam nadzieję,

Że jednak się to wszystko zmieni.

Że zapomniane jedno ziarno,

Wczepi się w ziemię, wyda plony,

I świat się w końcu zazieleni,

Rozum się zbudzi, dziś skundlony.

Jestem ostatnim sprawiedliwym...

Makabreska idylliczna

Ciekawe, jak to leżeć w trumnie,

W spokoju wreszcie, nieznanym od lat,

I w dupie, nie tylko mieć robaki,

Ale i cały ten pieprzony świat.

Na pełnym luziku, bez nerwów,

Choć niewygodnie trochę, bo ciasnawo,

Nie martwić się, co będzie jutro,

Z wiatrem, pod wiatr, prosto czy kulawo.

I choć savoir - vivre tu nie obowiązuje,

Człowiek ma prawo czuć się nieco sztywno,

Za to spokojnie może sobie olać,

To, co na górze całkiem mu obrzydło.

Luksusów także żadnych tutaj nie ma,

Nikt nie serwuje dań na srebrnej tacy,

Lecz plus tej sytuacji jest bezwzględnie taki,

Że burym świtem nie trzeba do pracy.

Czasu dla siebie jest dosyć, po uszy,

Nie wzrusza niedola drugiego człowieka,

Zgiełk się zewnętrzny nie wkręca do mózgu,

I w głowę, problem żaden nie zabija ćwieka.

Spraw ważnych dla istoty bytu,

Rozstrzygać można tu bez liku,

Wśród nich też jedną prozaiczną,

Co zrobić, gdy się zachce siku?

Mitologicznie

Umęczony jawą, zasnął bym najchętniej.

Na Polach Elizejskich, w tym śnie, gdzieś się zwinął,

Ambrozię pił z Morfeuszem, w kości grał z Hermesem,

Z Charonem za obola po Styksie w rejs spłynął.

Słuchał jak Psyche z Amorem czułą się i kłóca.

Z Panem koźlonogim koncert dał na fletni.

Wpinał kwiaty Hadesa, blade anemony,

Nimfom zwiewnym we włosy, w jakiś wieczór letni.

Heliosa rydwanem, łukiem nieboskłonu,

Do Eola pałaców wpadał na wizytę.

Iris – Różanopalcej prawił komplementy,

Orfeuszowi pomagał wykraść Eurydykę.

Dobrym słowem, rosą, okruchami sławy,

Nad Lete bym karmił cienie bohaterów.

Gorzko z Prometeuszem bluźnił przeciw bogom,

I Achillesa z Hektorem godził na wiek wieków.

Z Heraklesem Cerbera drapał za uszami,

Z ręki karmił Hydrę lub ujeżdżał Gryfa.

A przed przebudzeniem może jeszcze zdążył

I o radę, jak żyć - poprosił Syzyfa.

Konopnicka się kłania

Nie wie i do końca życia nigdy się nie dowie,

Wsiowy głupek, ślepy i naiwny,

Że urodził się po to, aby być malarzem,

Sławnym i podziwianym – świat jest czasem dziwny.

Okradziony z pejzaży, ograbiony z barw,

Jednym losu kapryśnym zrzędzeniem,

Nie pozna już nigdy, co czerwień, co biel,

I jak pędzel mistrza miesza światło z cieniem.

Chociaż słyszy płynący cicho dym z komina,

Fruwające anioły, wiatr świszczący butnie,

Nigdy nikt mu nie powie, że był przeznaczony,

By te cuda w kolorach zaklinać na płótnie.

Kiedy idzie przez wieś pozdrawiają go ptaki,

Goni śmiech ludzki i smutek istnienia.

A on bez zmrżenia, hardo patrzy w słońce.

Iskra boża, co nigdy nie zrodzi płomienia.

Choć dusze mamy w bliznach, a buty podarte,

Na życiowych drogach i wertepach losu,

To na każdą wiosnę z nadzieją czekamy,

Że raz się jeszcze zerwiemy do lotu.

Że znów się nam zachce zajrzeć za horyzont,

Z motylami gonić po majowej łące,

Policzki nadstawiać na pieszczotę wiatru,

Nad rzeką się czaić na wschodzące słońce.

Wśluchiwać z księżycem w słowikowe trele,

Przebudzonej sosny durzyć aromatem,

Płonać w błyskawicach pierwszej letniej burzy,

Witać z każdym, wracającym ptakiem.

Wzruszać się szelestem młodych listków brzozy,

Z podziwem pochylać nad trawy źdźbłem wiotkim,

Gwiazdy na sznurek marzeń nizać nad strumykiem,

I z pszczołami z kwiatów spijać nektar słodki.

A na Czas, co się postarzał i posiwiał z nami,

I strasząc przemijaniem, sroży się i grozi,

Nie zwracać uwagi, zapomnieć, że biegnie,

Jak kiedyś, jak wtedy, gdy byliśmy młodzi.

C'est la vie

Nie oczekuję już nic od życia,

Dało mi wszystko, co miało dać,

Dzisiaj mijamy się obojętnie,

Dziś już się nie musimy znać.

Rachunki mamy podliczone,

Tutaj jest zgoda między nami,

To, co dawało mi na kredyt,

Dawno spłaciłem. Z procentami.

Rubryki - „Winien”, „Ma” - na zero,

Żaden księgowy się nie przyczepi,

Nie ma też sensu dywagować,

Gorzej być mogło, czy też lepiej?

Czasami tylko z nutką żalu,

Na całe saldo to się patrzy,

Szat, niby nie ma co rozdzierać,

Ale, to mogło być inaczej.

Ale, to miało być inaczej!

W śnieżnej zamieci,

Drogą pod wiatr

Raz aniołowie szli dwaj.

A wkoło tylko,

Ciemność i mgła,

I całkiem nieznany im kraj.

Frunąć nie mogli,

Bo wicher mocarz,

Skrzydła przyginał do ziemi.

Jeden był blondyn,

Drugi był rudy,

Obaj zaś mocno zmęczeni.

Intymnik I – Na pożegnanie z Muzą

Nie myślałem nigdy, że w dojrzałych latach,

Młodzieńcze mnie odnajdą znowu uniesienia,

Że zrywając zasłonę z dni dawno minionych,

Do życia przywrócę uśpione wspomnienia.

I będę zdziwiony, że odległe w czasie,

Wcale nie straciły na swojej świeżości,

Że powrócą do mnie z siłą huraganu,

A ja dam się im porwać, bez żalu i złości.

Że zabolą znowu stare jakieś błędy,

Wczorajsze rozmowy wrócą dźwięcznym echem,

A ręk przed lat dotyk,serca kołatanie,

Okażą się dla duszy balsamem i lekiem.

Lecz kto odgadł rozumem, że pora mu odejść,

Ten słowom pożegnania, by próżno nie cierpieć,

Kształt serc winien nadawać, tak jak to czynili,

Kochankowie Petrarcki lub Goethe'go Werter.

Więc na pożegnanie przesyłam Ci w darze,

To co mam najlepsze, Moja Muzo Droga,

Kosz pełen serc czerwonych, cały w płatkach róży,

A Ty jeśli zechcesz, odgadniesz te słowa.

Intymnik II

Coraz bliżej słońcu za widnokres,

Ptaków nocnych coraz więcej na niebie,

Czasu co dzień ubywa na miłość,

A nam dalej, ciągle dalej od siebie.

Choć odległość pokona – nie zbliży,

Żaden list, żaden wiersz, żadne słowo,

Trzeba razem być, żeby się ogrzać,

Ręk dotykami i serdeczną rozmową.

Wspólnie dzień witać, dzielić się chlebem,

Wspólny mieć oddech we śnie i marzenia,

Szukać sensu w przyziemnych radościach,

Razem w słońcu być, razem nie bać się cienia.

Nam być razem – widać nie pisane,

Nie od dzisiaj jakieś fatum nas ściga,

Więc garściami bierz, co Ci los zesłał,

Ja samotność za nas dwoje udźwignę.

Niech Ci życie się wreszcie uśmiechnie,

Bądź szczęśliwa, szkoda czasu, nie zwlekaj,

Ale gdyby... Pamiętaj – dałem słowo,

Jestem obok, wciąż myślę i czekam.

Intymnik III.

Podaruj nam jedną noc, tę pierwszą i ostatnią,

Niech nasz sen w jej ramionach dośni się do końca,

W ciemności ciepłej spróbujmy raz jeden odnaleźć,

To, co mogło być dla nas najpiękniejsze pod słońcem.

Jej wszystkie tajemnice - i myśli i westchnienia,

Smutną czułość gestów, ból odjęty słowom,

Bezszelstność dotyku i bezbronność źrenic,

Jak złodziej – gdy świt nas zbudzi – uniosę ze sobą.

Dokądkolwiek bym nie szedł, jakie mijał lata,

Lub gwiazdozbiory depcząc wśród galaktyk wędrował,

To w koniuszkach palców, w każdym skrawku skóry,

Smak i zapach tej nocy na zawsze zachowam.

A gdy czas ześle spokój, blask zbiegnie pod powieki,

Coś odległe i chłodne w ciepłą zmieni się bliskość,

To wspomnienie tej nocy pójdzie razem ze mną,

W pustkę nieskończoności, w falującą nicość.

Wiesz, że jesteś wszystkim, co mam i posiadam,

Co można zakląć w słowie i zamknąć w marzeniu,

Objąć sercem i duszą, poznać dłoni dotykiem,

Kimś, kto poza czasem daje sens istnieniu.

Myśli jesteś radosnym zamętem, prozą i poezją,

Słońcem i księżycem, przedświtu jasnością,

Dobrą wróżką, co świat mój stworzyła na nowo,

Mgieł porannoróżowych roztańczoną zwiewnością.

Wzruszeniem, co łązy szczęśliwe na rzęsach zawiesza,

Po majowym deszczu mokrej ziemi zapachem,

Wszechświatem moich pragnień, moją gwiazdą

przewodnią,

I koncertem świerszczy, gdzieś na łące pod lasem.

Purpurą i złotem nieba o zachodzie,

Szumem wody w strumieniu i ptaka zaśpiewem,

Tchnieniem nocy sierpniowej utkanej z jaśminu,

Wiosennego wiatru delikatnym powiewem.

Oni

Czasami Los popłącze ludzkie przeznaczenia,

Jednym pisząc dramaty, innym zaś śniąc baśnie,

Wytyczając człowiecze drogi i życiowe ścieżki,

Nie dla żartu, lecz dlatego, że Losem jest właśnie.

Bywa, że ludziom dwojgu stworzonym dla siebie,

Nie dane jest nigdy spojrzeć sobie w oczy,

Bo On tak zdecydował i tak zechciał sprawić,

Bo to On koło fortuny ludzkich uczuć toczy.

Lecz zdarza się czasem, choć niezmiernie rzadko,

Że jednak się spotkają, też Jego zrządzeniem,

Zwykle dla nich za późno, więc wcale nie wiedzą,

Skąd w nich nagły niepokój i skąd duszy drzenie,

Skąd znają swoje myśli i skryte marzenia,

Czemu chętnie by poszli razem w stronę jedną,

Dlaczego słowa ich różne, a znaczą to samo,

Skąd w sercu trzepot motyla i wiosenna zwiewność.

A kiedy rozumieją, kiedy znajdą odpowiedź,

Na pytania, których głośno zadawać się boją,

Żal muszą zamknąć w sobie, zgodzić z wyrokami,

Które mówią, że być razem niestety nie mogą

Lecz by raz znalezionych znów nie zgubić siebie,

By się ze snu pięknego zupełnie nie zbudzić,

Nadzieją żyć powinni, że nie wszystko przepadło,

Że niespełnioną miłość Los im wynagrodzi.

I obdarzy ich w zamian więzami przyjaźni,

Trwalszymi nad marmury, nad emocje kaprysów,

Nad przelotne burze chwilowych uniesień,

Wiecznymi, jak zieleń wysmukłych cyprysów.

Dojrzała miłość

Bagażem wspomnień podwójnych i doświadczeń

Obciążona – żyć z nim się stara – dojrzała miłość,

Bo wie, że za rogiem już czai się szarość i pustka,

I jak noc najciemniejsza skrada się samotność.

Dlatego jest niecierpliwa, dlatego jej spieszno,

Szkoda jej dnia każdego, każdej chwili szkoda,

Zdaje sobie sprawę, że czasu oszukać nie można,

Ani go dogonić, ani też cofnąć niestety się nie da.

Że mogąc być już ostatnią, chce być najpełniejszą,

Wyrazistą jak jedyny kaczeniec na zielonej łące,

Twarz do szczęścia nastawia jak kwiat o zachodzie,

Czekający ostatniego, przed snem, pocałunku słońca.

Choć często jej pod wiatr i nie zawsze jest łatwo,

Zapominać i wybaczać szybciej niż kiedyś umie,

Łapczywie i garściami chce chwytać nadzieję,

I nie zważając na ludzi całować się w tłumie.

Tajemnicę dojrzałej miłości i pojmie i zrozumie,

Ten komu przyszło pod rękę iść z nią w późne życie,

Kto dzieli z nią jej skryte marzenia i codzienne lęki,

I pod wspólnym niebem budzi z nią o świcie.

Chciałbym taką moc wielką posiadać,

By szczęśliwego snu otoczyć Cię ogrodem,

Dokąd smutek i troski nie odnajdą drogi,

Byś śniła w nim tylko radość i pogodę.

Gdzie jeśli łza upada, to by kwiat napić,

Wiatr do uszu śpiewa pieśni najpiękniejsze,

Niebo nie zna koloru innego niż błękit,

A echo na wołanie odpowiada wierszem.

Marzę, by tym ogrodem były me ramiona,

Byś w moich objęciach odnalazła szczęście,

Snu Twego pragnę stać się chociaż mgnieniem,

Być stale przy Tobie, nie proszę o więcej.

Jesteśmy już razem od kilku miesięcy,

Rozmawiam z Tobą i słucham i patrzę,

W każdym Twoim geście, słowie i uśmiechu,

Wciąż dopatruję się ukrytych znaczeń.

Zdołałem pokochać zmienność Twych nastrojów,

I wrażliwość na wszystko, co piękne wokoło,

Pytań zasadniczych zadziorną powagę,

I mgiełki zamyśleń, lwem marszczące czoło.

I wierzyć chcę, że jak nikt nigdy przede mną,

Poznałem smak warg Twoich, słodycz pocałunków,

Zapach włosów burzonych niecierpliwą mą dłonią,

Serc bicie we wspólnym rytmie zdyszanych oddechów.

I nadzieja jest we mnie, że los nam podpowie

Jak bogactwem doświadczeń udowodnić teorię,

Że u schyłku lata żyć się da jak wiosną,

I pomoże napisać nam wspólną historię.

A to już jesień...

W słonecznych płasach pierwszych spadających liści,

Z latem żegnać powoli zaczyna się wrzesień,

Drzewom każąc przywdziewać różnobarwne symfonie,

W progę, wyjściowe buciki zakłada już jesień.

Stęsknione za błękitnym zaśpiewem skowronka,

Mgły poranne sennie snują się miedzami,

Wypłakują swe smutki w pnie wierzb rosochatych,

A wiatr im włosy czesze zwiewnymi palcami.

Dni wcześniej w sen zapadają i później się budzą,

Jakby czasu więcej chciały dać marzeniom,

Roziskrzzone emocje blasków rozedrganych,

Ustępują stonowanym spokojom półcieniom.

Chmury wyjęły z szaf nieba mokrą szaroburość,

Ptacom, co pozostały, zwilgotniały nuty,

A uśmiech słońca, chociaż wciąż serdeczny,

Coraz bardziej odległy, coraz bardziej złudny.

Trzymając Cię za rękę, wsłuchany w Twój oddech,

Chcę przywitać nadejście tej naszej jesieni,

Pierwszej lecz nie ostatniej, bo mocno w to wierzę,

Że żadna pora roku naszych uczuć nie zmienia.

Listopadowe latarnie

Wtulone w mgłę jesienną uliczne latarnie,

Miękką poświatę blasku ścielą spadającym liśćmi,

Tajemne uchylają furki z nicości do niebytu,

Płochliwym cieniom kotów i zbłąkanym myślom.

Wplatanym w spokój nocy, spóźnionym przechodniom,

Wytyczają ścieżki wśród trwożnych szelestów,

Przeglądają się w zwierciadłach mokrego asfaltu,

I drzew, latem zmęczonych, nasłuchują szeptów.

Zawieszone w pół drogi z ziemi do księżyca,

Skazane na byt nieruchomy, wolne pragnieniami,

Chciałyby swą jasnością przebić chmur zasłony,

By pocałunek siostrzany wymienić z gwiazdami.

? Znak zapytania

Są złości, których gniew nie skala,

I smutki, co nie ronią łez,

Miłości wierne, ale krótkie,

Jak pękającej struny jęk.

Są nieba siódme i wyblakłe,

Zbyt mądre słowa bez znaczenia,

Przebrzmiące śniegi, zwiędłe wiosny,

I raz spełnione już marzenia.

Zapomnij już! To było wczoraj,

I siedem zamknij bram za sobą,

Strząśnij złudzenia w pył przydrożny,

I uwierz w słońce ponad głową.

Nie patrz za siebie! Tam już pustka,

I wierszy szkoda na wspomnienia,

Wiesz, tylko gwiazdy płoną wiecznie,

Ty nie masz czasu do stracenia.

Są rany jeszcze nie otwarte,

I spojrzeń złych palące piętna,

Są drogowskazy na rozstajach,

Do krain ulotnego piękna.

Są też uśmiechy z fałszu szyte,

I niepotrzebne, stare sny,

Cichnące za zakrętem kroki,

Zjawy z minionych dawno dni.

Spadanie pod górę

Zbyt mało mi było tego, co kochałem,

A dany mi spokój, stał mi się zawadą,

Świat więc chciałem zadziwić, odplacił mi za to,

Monetą dla głupców- szyderstwem i zdradą.

Mając naprawdę wiele, zapragnąłem więcej,

Bo niebo mi było zbyt nisko nad głową,

A świat wydał za ciasny, chociaż stał otworem,

Goniąc więc nieuchwytne, przestałem być sobą.

Most na przepaścią chciałem wybudować,

Kruchy – na grubość włosa – ze złudzeń i marzeń,

Wierząc, że Los jak dotąd będzie przyjacielem,

I pomoże okiełznać nieuchronność zdarzeń.

Most nie uniósł ciężaru mojej próżnej pychy,

I strącony, runąłem w odmęty żywiołów,

Spadając wierzę jednak, że nade mną gwiazdy,

Że znów wzlecę na skrzydłach przyjaznych aniołów.

Wybrańcy bogów

Wybrańcy bogów żyją krótko,

Czas i pieniądze mają w pogardzie,

Są jak niesione wiatrem motyle.

Świat śnią na jawie, szybko i barwnie.

Istnienia tkają z ziaren piasku,

Kaprysem stwórców zakłęci w inność,

Gnani impulsem biegną na oślep,

Nie wiedząc co to przyjaźń, co miłość.

Dlatego bez żalu wstępują w noc, noc bezdenną,

Co trwa bez kresu i nie zna początku,

Gdzie cisza jest krzykiem, bogactwem jest nic,

A chaos zacznem porządku.

Kochają siebie, tylko siebie

Skryci za murem obojętności ,

Lecz ryzykują, by choć raz jeden,

Los dał im zagrać ze śmiercią w kości.

Wyzbyci pychy i pokory,

Niewinni w swojej doskonałości,

Dotknąć chcą nawet najdalszych granic,

By poznać wszystkie barwy nicości.

Dlatego bez strachu wstępują w noc...

Zupka - nic

Spizowo nieczułe jest niebo nad miastem,

W klepsydrze już kończy się piasek,

I życie uwiera jak buty za ciasne,

A ludzi nie widać spod masek.

W ciemnościach tak łatwo się z czasem dogadać,

By cofnął bieg zdarzeń i chwil,

I z dala od zgiełku, z nostalgią oglądać,

Jak wspomnień przewija się film.

Ten deszcz, który nagle zmienił się w tęczę,

Ta noc, której nigdy naprawdę nie było,

Jak puch zwiewny walczyk na cztery ręce,

Tajemne podróże wśród gwiazdnego pyłu,

I wiosna, co przyszła w błękitnej sukience...

Ostatni duch z jękiem już zniknął ze sceny,

Nad miasto nadciąga znów świt,

I życie nam wciska swój towar z przeceny,

Wykwintny smak zupki – nic.

Dlatego tak dobrze jest usiąść w fotelu,

Zatrzasnąć za sobą drzwi,

Nie martwić się światem i w błogim letargu,

Pozwolić, niech młodość się śni.

Ta wiosna, co przyszła w błękitnej sukience,

Tajemne podróże wśród gwiazdnego pyłu,

Jak puch, zwiewny walczyk na cztery ręce,

Ta noc, której nigdy naprawdę nie było,

I deszcz, który nagle zmienił się w tęczę...

Spaceruję Wielunia ulicami uśpionymi,

Dniem znużone drzewią już i ptaki i domy,

Widzę, jak latarnie beztrosko flirtują z gwiazdami,

I jak się w ciepłym wietrze

Drzew parkowych kołyszą dostojne korony.

Wieluń, to moja obiecana ziemia

Świat tu usłyszał mój pierwszy krzyk

Znam tu opowieść każdego kamienia

I z każdym drzewem jestem na ty

Tutaj rodziły się moje marzenia

Tu się do końca wyśnią moje sny

Księżyc beztróska przysiadł sobie na szczycie ratusza

Licząc wieże kościołów zawieszono w chmurkach

W jego blasku razem ze mną spacerują wspomnienia

Lat dziecinnych i przygód

Przeżywanych na wieluńskich podwórkach

A gdy w promieniach złocistych porannego słońca

Świt różowy maluje mego miasta ulice

Patrzę przez tęczę zawieszoną na koronie fontanny

Jak wstaje nowy dzień

I jak mój Wieluń budzi się do życia

Jeszcze lato...

Jeszcze wokół przepych lata, dni w błękicie i zieleni,

Ale w każdy wieczór bliżej, kroczek bliżej do jesieni.

Jeszcze słońce, jeszcze upał i jaskółek śmigłe loty,

Ale gdzieś za horyzontem już szarugi, mgły i sloty.

Jeszcze burzą niebo zagrzmie, las napoi ciepłym deszczem.

Lecz w obawie przed szronami skrzypki już pakują świerszcze.

Jeszcze pszczoły całkiem żwawe i do snu daleko kwiatom,

Lecz już jesień śle forpocztę- gnane wiatrem babie lato.

Jeszcze drzewa nie gotowe płaszcze wielobarwne wdziwać,

Lecz bociany po sejmiku i skowronek już nie śpiewa.

Jeszcze drzemią pod mchem grzyby, jabłka rumienieją w sadach,

Lecz o brzasku wśród gałęzi, szary smutek już przysiada.

Jeszcze chmurki tańczą z wiatrem i soczyste jeszcze trawy,

Ale białą mgłą oparów dymią rankiem leśne stawy,

Jeszcze w brylantowe rosy stroi się wciąż dumny sierpień,

Lecz swą dumkę nostalgiczną coraz głośniejszą nuci jesień.

Jesień...

Jeszcze wrzesień dmie w fanfary, pokrewieństwo z latem głosi

Ale jesień już za progiem, już się wkrótce tu rozgości,

I choć lata żal i szkoda, takie prawa rządzą światem,

Trzeba przetrwać czas szarości, by się znowu cieszyć światłem.

Z wód Bałtyku wzrosłe, nasze Morskie Ustronie,

Najcenniejszy z klejnotów w pomorskiej koronie,

Tutaj z okien domostw i wydm złocistych zboczy,

Pięknem morza do woli można sycić oczy,

Jego fal szmaragdowych potęgą i mocą,

Co w dzień gonią z mewami, w sen kołyszą nocą,

Albo w szumie przyboju śnieżnobiałe piany,

W milion tęcz rozpylają, z wiatrem idąc w tany.

Jesteś w słońca uśmiechu i gwarze dziecięcym,

Nasze Morskie Ustronie miejscem najpiękniejszym.

Las żywicą pachnący, słońcem malowany,

W gościnę na cieniste zaprasza polany,

Ścieżka od lat znajoma, środkiem traw kwitnących,

Nad staw wiedzie, królestwo ptaków pływających,

Gdzie się wiatrak skrzydłami o niebo opiera.

Tu żyć chcemy szczęśliwi, spokojni umierać,

Nie pragniemy zbyt wiele, starczy nam gdy trzeba,

Z plastrem szynki domowej, swojska kromka chleba.

Nasze Morskie Ustronie jesteś jak marzenie,

Dajesz naszemu życiu i sens i spełnienie.

Po dniu znojnym, w gospodzie siadamy wieczorem,

Piwo niespiesznie sącząc naszych ojców wzorem,

O życiu i o świecie rozmowy toczymy,

Słuchając, od starszych wiele się uczymy.

Czasem gdy od trunku głowy się zagrzeją,

Słowa padają ostre i twarze mrocznieją,

Lecz gniew szybko wygasa, tak każe sumienie

Łączą nas przecież wspólne germańskie korzenie,

I miłość do ciebie nasze Morskie Ustronie,

Podobnego ci nie masz w żadnej świata stronie.

Pożegnanie Marsjasza

W potęgę Olimpu niczym niezmaconą

W żywiczną i sosnową, przezroczystą ciszę

Z traw roztańczonych w rytm muzyki wiatru

Żałosna skarga aulosu ulatuje w słońce.

I otulając przestworza szarości zasłoną

Nabrzmiała cierpieniem, wznosi się, kołysze

Zastyga i faluje, gmatwa jedność taktu

Jest posłańcem smutku i rozpaczy gońcem.

Wciska się pod kamienie, mąci bieg strumieni

W pół drogi wstrzymuje drzew rozkołysanie

Każe ptakom zamilknąć i wyblaknąć kwiatom

W powagę obleka swawolność motyli.

Opończę tka żałobną z uwiędłej zieleni

By nią potem nakarmić płomieni śpiewanie

I boskim, wśród płąsu zastygłym, tancerzom

W powolnym upadku ku ziemi się chylić.

To świat niewidzialnych żegna się z Marsjaszem

Śmiech w żalność zamienia, cichą i bez szlochów

Ku niebu się wzbija dym ofiarny stosu

W którym płoną dwie piszczałki z trzciny.

I porywa ich granie w miejsce poza czasem

Gdzie piękno nie zależy od boskich wyroków

A talent jest darem, nie przekleństwem losu

Próżność karana zaś bywa współmiernie do winy.

Wydumali chłopcy, z gór i okolicy,

Że w tym roku honor najbardziej się liczy.

Nie dutki zielone z chicago* od cioci,

Lecz złote medale do zdobycia w Soczi.

Wymyślili także drogę do sukcesu,

Dużo pracy, dużo śmiechu, za to zero stresu,

Najważniejszy luzik w dupie,

I pod narty wiatr.

Na tym można latać,

Ponad szczyty Tatr.

Recepta jest prosta jak flaszki rozpicie,

Będzie w Soczi złoto sami zobaczycie.

A jak będzie medal, to i bal nad bale,

Dadzą srogo w szyję cepry i górale.

I świstaki i kozice i niedźwiedzie tyż,

Jeden trzeźwy na Giewoncie będzie tylko krzyż.

Najważniejszy.....

* wymawiać jak napisane.

Nadwarciańscy*

W jałową pustkę bez powrotu zaplątani

Rozbitkowie w czasie i przestrzeni,

W kieszeniach słońc sto mają jeśli im trzeba,

Ale nie mają swojego miejsca na ziemi.

Wszystko w nich wymięte, wyblakłe i szare,

Oczy, dusze, tęsknoty i wspomnienia marzeń,

Żyją obok - przeciw sobie i wszystkim,

Bezwolnie płynąc z prądem przypadkowych zdarzeń.

Zamknięci w klatkach swego zapomnienia,

Od których klucze dawno wyrzucili,

Bez sił, by wyłamać przerdzewiałe pręty,

Nie chcą pamiętać przeszłości, którą utracili.

Nie chcą też wiedzieć, że istnieje przyszłość,

Liczy się dla nich tylko tu i teraz,

Łapczywa chwila szczęścia, gdy dym z papierosa,

Wypełnia ich i cały kosmos naraz.

Nie śpią po nocach, bardzo snów się boją,

Cieni ludzi i złudzeń, które mogą przynieść,

Bo ich świat jest samotny, pusty i nieczuły,

I tylko oni potrafią drogę w nim odnaleźć.

I tylko oni wiedzą, jaki niosą ciężar,

Rozproszonych myśli i spętanej woli,

Lecz słów nie znają takich, by mogli powiedzieć,

Jak życie jest okrutne i jak bardzo boli.

**/ poświęcony pacjentom Szpitala dla Psychicznie i Nerwowo*

Chorych w Warcie

Walkower

Przegrałem życie walkowerem

W dołkach zostałem już na starcie

Bezradnie patrzę

Jak czas przecieka

Strumieniem mi przez palce

Przegrałem życie walkowerem

Nie załapałem się na bal

Choć tuż za ścianą

Gra orkiestra

Na zaproszenie nie mam szans

Przegrałem życie walkowerem

Rzucam bez złości i nadziei

Zblakłe marzenia

Słabe wiersze

W dogasający blask płomieni

Przegrałem życie walkowerem

Wciąż stojąc na czerwonym świetle

Ostatnią bitwę

Z całym światem

Chcę stoczyć w moim, własnym piekle

Ref

Szklanej góry chciałem zdobyć szczyt

Największym z wielkich chciałem być

Dzisiaj mój sen, to zgrany hit

Został mi tylko stos starych płyt

Wiernej gitary wytarty gryf

Jest miejsce...

Jest miejsce, gdzie czas się zatrzymuje na spoczynek,

I w jedną się łączą wszystkie drogi świata,

Gdzie nocy z dniem odwieczny zamiera pojedynek,

A jutro się z przedwczoraj w nieskończoność splata.

To miejsce potajemnych spotkań ludzi z aniołami,

Alegorii blasku z powszedniością cienia,.

Objawień, nie do nazwania ziemskimi słowami,

Wpisujących w wszechświaty ścieżki przeznaczenia.

Ludzie potrafią tu szybować ponad marzeniami,

Wyprzedzając w pędzie swe własne wspomnienia,

Aniołom zaś, zawieszonym pomiędzy niebami,

Dane jest w pełni doświadczyć, jak twarda jest ziemia.

Wspólnie mogą i tworzyć i obalać dogmaty,

By zgubione odnaleźć pierwiastki stworzenia,

Lub w chaosie dróg mlecznych, wynajdywać światy,

Gdzie się anarchię da zgodzić z pokorą istnienia.

Tu się wszystkie odnajdują rzeczy pogubione,

Łzy wylane na próżno i sekretne wyznania,

A na rozstajach kosmosów anioły stęsknione,

Niecierpliwie czekają kolejnego spotkania.

„Chciałbym odpocząć dziś od siebie,

Zrozumieć kim jestem, kim byłem,

Znaleźć odpowiedź na pytanie,

Dokąd iść chciałem, skąd wróciłem.

Zgubione w czasie leśne ścieżki,

Wyzwolić z czaru nieistnienia,

Nazwać na nowo barwy tęczy,

Zapomnieć, co to są wspomnienia.

Chcę spytać losu jakim prawem,

W życiowe strojąc mnie ostrogi,

Wybrał przemijającą sławę,

Nie dając do wyboru drogi.

Czemu przelotnych ptaków skrzydłom,

Zawierzył moje dni i noce,

Spokój i sny – niesfornym wichrom,

Co w kroplach deszczu niosą wiosnę.

Odnaleźć chciałbym jeszcze ciszę,

Dni prześwietlonych blaskiem słońca,

Naiwność dziecka i muzykę,

I już pozostać tam do końca.

Zamknąć jak w kryształowej kuli,

W kalejdoskopie dni minionych,

Wszystkie radości, wszystkie bóle,

Tęsknoty marzeń niespełnionych.”

